

P.Ola

**Przebyłam bardzo długą podróż do domu.....**

**Wspomnienia prababci Danusi**

**Władysław Surowiecki**

**Poemat repatriacyjny**

(fragmenty)

*O roku ów tragiczny – czterdziesty piąty,  
W niepewność jutra wpatrzeni Polacy  
Ze skromnym podróżnym dobytkiem  
Z ojczyzny podolskiej – wygnani  
Jak Herman z Dorotą na skrzypiącym kole  
Uszliśmy z życiem w nieznany kraj  
Pamiętny exodus narodu polskiego  
Po klęsce września  
W Załuczu na stacji transporty czekały  
Gromada bezdomnych, gotowych do drogi  
Ze skąpym dobytkiem żegnała swą ziemię  
Niektórzy na zawsze – niektórzy z nadzieją, że wrócą ...  
żal nam te strony było porzucić  
Rodzinną skibę i przyzbę przy domu (.....)  
Podróż ostatnią w gromadnej rodzinie  
Za ziemie nieznane – za Odrę – prusacką  
W niepewność jutra polskich tułaczy  
Z nostalgią i łzą w oku ...*

*Żelaznym okrętem w blaszanych pudłach  
W siną dalekość w głębie zamglonych ogrodów  
O chłodzie nocy w miarowym stukocie kół  
Zdobywaliśmy Zachód – pionierzy  
Garść ziemi z ogrodu w woreczek sypana  
By pod wezłowiem ojczyznę przypomnieć  
Cóż można było zachować przy sobie  
By śnić ? ...*

Jako mała dziewczynka mieszkałam wraz z moją dość liczną rodziną na wsi koło Brzeżan. Do 1945 roku tereny te należały do Polski, a obecnie znajdują się na terytorium Ukrainy. Mój tato pracował w lesie, a mama zajmowała się wychowywaniem potomstwa i gospodarstwem. Rodzice uchodzili w okolicy za zamożnych i bardzo pracowitych ludzi.

Uprawialiśmy rozległe pola i hodowaliśmy 20 krów oraz inne zwierzęta, więc było bardzo dużo obowiązków. Wszyscy pracowaliśmy na gospodarce. Mniejsze dzieci karmiły kury, kaczki i gęsi, zaś starsze, po powrocie ze szkoły, doglądały krów i świń. Prace polowe zajmowały nam większą część dnia. Mama często sprzedawała na targu jajka, warzywa i owoce. Zimą mieliśmy więcej wolnego czasu, ale wtedy dzień był krótszy i szybko było ciemno. Dopiero wieczorami moi braci i siostry zasiadali do nauki. Przy pracach gospodarczych pomagali nam mieszkający w pobliżu Ukraińcy.

Z sentymentem wspominam urocze lata mojego dzieciństwa, kiedy życie płynęło wolno, spokojnie i bezpiecznie. Myślę, że jest to zasługa moich rodziców, którzy chcieli, by niczego nam nie brakowało. Dzięki nim, moje dzieciństwo było przepełnione radością. Dom rodzinny był przytulny, pełen miłości, z tradycjami. Mama wieczorami siadała wśród nas i opowiadając bajki cerowała rzeczy lub szyła nam nowe ubrania. Matula często piekła chleb w specjalnym piecu i robiła świeże masło. Do dzisiejszego dnia pamiętam zapach takiego świeżo upieczonego chleba posmarowanego masłem. Latem robiła dżemy i inne przetwory oraz kiszyła ogórki i kapustę. Czasami wspólnie się bawiliśmy – szyliśmy lalki i robiliśmy różne zabawki ze skrawków tkanin, włóczki i innych materiałów. Za zabawki służyły nam różne kuchenne przedmioty. Dużo wolnego czasu spędzaliśmy na świeżym powietrzu bawiąc się w „ganianego” czy w „łapanego” oraz puszczaaliśmy kółka. Wieczorami czekaliśmy na powrót taty. Z biegiem czasu moi rodzice wybudowali duży dom, w którym zamieszkaliśmy. Pamiętam zapach świeżo pobielonych ścian, a także ciepło ognia w kominku. W święta dostawaliśmy od rodziców zrobione przez mamę ubrania. Choinkę przyozdabialiśmy własnoręcznie robionymi świecidełkami i ozdobami z papieru i słomy. Przychodził do nas wtedy pop z wizytą po kolędzie i każdemu dziecku rozdawał pyszne cukierki.

Mój ojciec chrzestny nie miał dzieci i cały swój majątek zapisał dla mnie. Dostałam w spadku ogromny murowany dom z zabudowaniami gospodarczymi, który niestety przepadł, kiedy musieliśmy opuścić tamte tereny. Wielu Ukraińców zazdrościło nam dobytku. Kilku sąsiadów przychodziło do nas i ciężko pracowali, często za pożywienie. Rodzice także dokarmiali dzieci z pobliskich gospodarstw. To były ciężkie czasy dla ubogich mieszkańców wsi.

Nie chodziłam do szkoły, ponieważ byłam jeszcze za mała. Znam tylko opowieści mojego rodzeństwa o szkole i nauczycielach. Pamiętam, że siostry i bracia uczęszczali do szkoły nawet w soboty. Tylko niedziele i święta spędzali cały dzień w domu. Słyszałam od siostry, że biedniejsi uczniowie jedli w szkole posiłki, które były wydawane przez

nauczycielki. Dzieci chodziły w mundurkach, które na rękawach miały naszyte szkolne tarcze. Nosiły szare zeszyty. Nie wszystkich rodziców było stać na posyłanie potomstwa do szkoły. W naszej rodzinie wszystkie dzieci, które osiągały odpowiedni wiek, były zapisywane do szkoły. Zimą wychodziły do szkoły bardzo wcześnie, kiedy było jeszcze ciemno. Miały do pokonania długą drogę.

Wojna zniweczyła wszystko. Nastaly dni strachu i grozy, trudne dzisiaj do opisanía. Z każdym dniem miejscowi banderowcy stawali się coraz brutalniejsi. Napadano na bezbronnych ludzi w polu, na drogach i w domach pod osłona nocą. Polaków katowano, topiono w studniach lub w rzece. Najpierw mordowano pojedynczych ludzi, później całe rodziny, a nawet całe wsie. Najgorszy był rok 1944, po wycofaniu się Niemców i przesunięciu frontu na zachód, kiedy to Polacy zostali powołani do wojska, a we wsi pozostały kobiety, dzieci i starcy. Dla ratowania życia ludzie porzucali swoje domostwa, dobytek i uciekali do miasta. Banderowcy nie obawiali się niczego ani nikogo. Coraz częściej w naszej okolicy roznosiły się straszne wieści o paleniu domów i gospodarstw, zabieraniu zwierząt i dorobku oraz o brutalnych mordach na Polakach. Wszyscy się baliśmy. Wieczorami szybko musieliśmy gasić lampy. Strach ogarniał nie tylko dzieci ale i dorosłych. Nikt nie wychodził z domów po zmierzchu. Baliśmy się własnych sąsiadów. Nie wiedzieliśmy już kto jest przyjacielem a kto wrogiem. Polacy organizowali w tym czasie nocne warty, mieli przywiązane do drzew żelazne przedmioty i w razie zbliżenia się bandytów mieli obowiązek alarmowania sąsiadów. Wszyscy mieli schrony w piwnicach lub na strychach albo uciekali z mieszkań do pobliskich lasów.

Pewnego wieczoru, kiedy zasiedliśmy do kolacji, usłyszeliśmy krzyki w języku ukraińskim, łoskot i miarowe walenie do naszych drzwi i okien. Mama kazała nam się schować i nie wychodzić. Banderowcy wdarli się do domu. Zabrali ubrania, pościel, zboże, zwierzęta i różne przedmioty. Wiele mebli zniszczyli. Podpalili oborę, stodołę i chlew. Słyszeliśmy tylko krzyki i płacz. W pewnym momencie usłyszeliśmy pojedynczy strzał i przeraźliwy krzyk mamy. Żadne z nas nie wyszło z kryjówki. Strasznie się baliśmy. Najmłodsza siostra cały czas płakała. Długo siedzieliśmy w ukryciu. Dopiero kiedy Ukraińcy odeszli, mama pozwoliła nam wyjść z kryjówki. Miałam zaledwie osiem lat, kiedy zabili mi tatę. To było straszne przeżycie. Od tamtej chwili żyliśmy w poczuciu trwogi i strachu. Mama kazała nam się spakować i już nad ranem uciekliśmy do miasta, gdzie mieszkali nasi krewni. To było straszne i traumatyczne przeżycie. Ale moja energiczna i zaradna mama nie traciła ducha. Wróciła i sprzedała wszystko, co dało się spieniężyć. Bardzo długo baliśmy się zasypiać. Każdy głośniejszy dźwięk sprawiał, że zastygałam w bezruchu. Żyliśmy w ciągłym

strachu. Najmłodsza siostra często budziła się z płaczem w nocy. Wiedzieliśmy, że musimy uciekać. Mama zaczęła starać się o papiery, czyli tzw. kartę ewakuacyjną, którą trzeba było wyrobić w gminie. Piekła chleb, który następnie był krojony i suszony. Kupowaliśmy suchary i konserwy oraz inne produkty żywnościowe, które miały długą datę ważności. Mieliśmy całe worki kaszy gryczanej, jęczmiennej, mąki i przetopiony smalec. Pamiętam, że mogliśmy ze sobą zabrać tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Potem przeczytałam gdzieś, że był to tzw. „walizkowy” transport.

Pewnego dnia otrzymaliśmy polecenie, że za tydzień mamy opuścić dom. Mama spakowała rzeczy i żywność do worków i wynajętą furmanką przewieźliśmy wszystko na stację kolejową. Na dworcu była już długa kolejka oczekujących na wyjazd i my także w niej się ustawiliśmy.

Naszej mamie było w tamtym czasie bardzo ciężko. Została sama z gromadką małych dzieci, z poczuciem niepewnego jutra. W tamtym okresie mizerniała w oczach. Uspokajała nas, ale myślę, że bała się wszystkiego tak samo jak my. Ciągłe w nocy doglądała dobytku i nas pilnowała.

Z każdym dniem kolejka się wydłużała i czekaliśmy na dworcu wiele dni, bez dachu nad głową, pod gołym niebem. Wszyscy zabierali tylko rzeczy osobiste i żywność. Można było zabrać tylko jedną krowę i konia. My nie mieliśmy ze sobą żadnych zwierząt.

W końcu podstawiono pociągi. Do lokomotywy były doczepione wagony towarowe i węglowe oraz takie platformy bez dachu. Naszą rodzinę umieszczono w zadaszonym wagonie towarowym. Z nami w tym jednym wagonie jechało jeszcze siedem rodzin. W transporcie podróżowali głównie starcy i matki z dziećmi. Młodzi mężczyźni byli powoływani do wojska. Podróż trwała bardzo długo, często transport stawał w polu, wtedy ludzie wyskakiwali z wagonów, żeby rozprostować nogi i coś ugotować na improwizowanych kuchenkach (dwie cegły i jakaś blacha, pod którą rozpalano małe ognisko). Przynoszono w wiadrach wodę. Zbierano trawę i siano dla zwierząt. Dzieci próbowały się wspólnie bawić. Często nie zdążono nic ugotować, bo lokomotywa gwizdnęła i trzeba było w pośpiechu wsiadać. Ci, którzy nie mieli jedzenia zakradali się na pobliskie pola i kradli ziemniaki i inne warzywa. Pociąg nagle ruszał i bywało tak, że ktoś nie zdążył i zostawał sam w szczerym polu. Podróż przedłużała się w nieskończoność. Szerzyły się choroby z powodu braku możliwości utrzymania higieny. Powszechnie panowała wszawica i świerzb. Było zimno. Z każdym dniem nasze zapasy były coraz mniejsze. Nasza mama martwiła się, co będzie jak zabraknie nam jedzenia. Musieliśmy porcjować żywność, więc nie dojadaliśmy i czuliśmy lekki głód.

Pamiętam, jak mama ukradkiem płakała po nocach. Tęskniła za naszym tatusiem, domem i pięknym ogrodem z kwiatami. Nie mogła przyzwycząć się do zaistniałej sytuacji. Lecz nigdy nie uskarżała się przy nas. Dla swoich dzieci dzielnie walczyła o każdy dzień. Była dla mnie moją bohaterką. Kiedy płakałyśmy to opowiadała nam piękne bajki i ciekawe historie, aby nas uspokoić i utulić do snu.

Nie pamiętam po ilu dniach przekroczyliśmy granicę i znaleźliśmy się w Polsce. Tu musieliśmy przenieść się do innego wagonu. Przeładowanie do innych wagonów związane było z inną szerokością torów. Podróżujący wciągali więc do polskich wagonów ciężary i zwierzęta po pochylniach zrobionych z desek od wozów i łóżek. Sporo zwierząt musiano dobijać ze względu na śmiertelne okaleczenia.

W końcu dotarliśmy na Pomorze, gdzie stacjonował mój najstarszy brat, który był żołnierzem w wojsku. Pociąg zatrzymał się. Jakiś staruszek pomógł mojej mamie wynieść najcięższe bagaże. Pociąg ruszył, a my zostaliśmy sami na stacji. Kiedy dotarliśmy na miejsce okazało się, że brat został przeniesiony wraz z wojskiem do innego miejsca. Na mamę czekała tylko informacja, że nasza ciocia czeka na nas na Dolnym Śląsku. Znów czekała na nas kolejna bardzo długa podróż pociągiem. Strasznie bałyśmy się tej podróży w nieznaną, samotności i tego co czeka nas, kiedy tam dotrzemy. Po wielu dniach dotarliśmy na miejsce. Ciocia czekała na nas na stacji. Tu znalazła dla nas malutkie mieszkanie. Tak nasza rodzina znalazła się na dolnośląskiej ziemi i tak zaczynało się nasze nowe życie w wymarzonej Polsce.